

LIRA
WYDAWNICTWO

A L E K S A N D E R
S O W A

SERIA Z EMILEM
STOMPOREM

Kryminał milicyjno-policyjny
inspirowany prawdziwymi wydarzeniami

G W I A Z D Y
O R I O N A

GWIAZDY ORIONA

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2019

ISBN: 978-83-66229-33-4

A L E K S A N D E R
SOWA

GWIAZDY
ORIONA

L i R A
WYDAWNICTWO

*Wszystko jest Tobą.
Ty jesteś wszystkim.
Mojej kochanej żonie*

Dwudziestego dziewiątego października 1989 roku niebo nad Śląskiem się rozjaśniło. Zegary wybiły dwudziestą drugą i pracownice koksowni ruszyły po pracy na brudne ulice. Niebo pachniało dymem.

Jadwiga Przybyłok wracała do domu. Zziębnięta i zmęczona chciała odpocząć. Wsłuchiwał się w odgłos jej kroków przy akompaniamencie dźwięków Bytomia. Kiedy się zbliżyła, spadł na nią gruby na cal żebrowany pręt.

— Jezusie! — jęknęła.

Usiadła na pokrytej szronem trawie, trzymając się rękami za głowę. On patrzył. Wyglądał jak przedszkolak, który się wstydzi, bo zmoczył majtki.

— Ty giździe pieroński! — syknęła, patrząc na dłoń. — Maryjo świynto!

Cienka strużka spłynęła po jej czole, zalewając oczodół. Druga sunęła po skroni na żuchwę i niżej, na szyję. Po między palcami ciemniała ciepła, parująca krew.

— Chrystusie!

— Bolało?

— Ożeż ty... Czamuś mnie maznoł?

— Bo chciałem. Bolało czy nie?

— Coś nie rychtyg z tobą czy żeś asi je pofyrtany?

Uśmiechał się słabo. To, że się podniosła, zaskoczyło go. Jednak nie wszystko wziął pod uwagę. Kobieta tymczasem, otrząsnąwszy się z szoku, zaczynała rozumieć.

— Ubić mnie chcesz?

Gdyby nie to, że byli poza zasięgiem światła latarni, zobaczyłby przerażenie w jej oczach. Oblizał wargi, rejestrując, że się instynktownie cofnęła.

— To nic nie da — szepnął.
— Coś pedzioł?
— To nic nie da. Nie utrudniaj — dodał, ściskając pręt.
— Lepiej powiedz, jakie to uczucie. Jak to jest wiedzieć, że zaraz się umrze?
— Jezder — wydusiła. — Ty naprowde chcesz mnie ubić, ja?
Księżyc wyłonił się zza chmur, lecz w nowiu nie mógł oświetlić niczego. Wokół panowała ciemność i cisza.
— Dej mi pokój — powiedziała błagalnie.
Podszedł na wyciągnięcie ręki. Uniósł podbródek i spojrzał jej w oczy. Wiedział, że wystarczy jeden ruch. Miał nad nią kontrolę. Patrzył, jak cofa się na plecach. Zrobił jeszcze jeden krok.
— Jezderkusie, jezderujo, nie! Ludziskaaaa! Milicjaaaa!
Trafił ją w prawą skroń. Upadła na twarz, strącając szron ze zmrożonych źdźbeł.

2

Jego sercem targnęło nieprzyjemne uczucie. Wiedział, że za chwilę coś się wydarzy, wypadki potoczą się w innym kierunku. Znał ten stan, towarzyszył mu, odkąd pamiętał. Przypominał trwające milisekundę porażenie prądem i choć nieczęsto się pojawiał, zawsze zwiastował coś istotnego.

— Tu policja! Apeluję o nierzucanie w kierunku policjantów niebezpiecznych przedmiotów!

Łoskot łopat śmigłowca narasta. Powietrze wibruje, gaz drażni nozdrza i oczy.

— Policja wzywa dziennikarzy i przedstawicieli mediów o opuszczenie terenu działań — słyszy urywany komunikat pomiędzy wybuchami petard i wyciem syren.

Trzy metry dalej roztrzaskuje się butelka. Kałuża benzyny staje w płomieniach. Czarny, gryzący dym kieruje się na nich. Kilka kamieni trafia w tarcze.

— Zawsze i wszędzie policja jebana będzie! — niesie się z gardeł. — Policja jebana będzie! Policja jebana będzie!

— Trzymaj szyk!

— Zawsze i wszędzie...

— Trzymaj szyk!

— ...jebana będzie.

Huk jest potężny. Bliski. Uderzenie kostki brukowej w tarczę niemal przewraca Emila. Policjant cofa się o krok.

— Kurwa, co z tobą! — Ktoś go popycha. — Trzymaj szyk!

Znowu huk. Tarcza z prawej rozsypuje się od uderzenia metalowej śruby. Drugi kawałek stali odbija się od bruku i trafia młodego policjanta w nagolennik. Ból jest nagły, ale do zniesienia.

— Przygotuj broń gładkolufową!

Za plecami słyszy metaliczny trzask przeładowania.

— Naprzód! — krzyczy ktoś za Emilem. — Tarcza w górze! Trzymaj szyk!

Maska ogranicza widzenie, komunikaty w radiu zlewają się z hukami petard, łoskotem łopat śmigłowca i rykiem syren. Każdy oddech sprawia trudność. Gaz szczypie w oczy, pali spoconą skórę. Szybki zaparowują. Za tarczą faluje tłum, młody policjant walczy ze sobą, żeby nie zerwać maski. Reflektor śmigłowca wychwytuje postacie z kapturami na głowach i szalikami na twarzach. Płonąca

benzyna oświećta tłum na pomarańczowo. Masa napiera, zbliża się niczym rozjuszony wielkie zwierzę. Wrogie cienie ruszają się, podnoszą kamienie, rzucają, wybiegają i znikają.

— Tarcza w górę! Trzymaj szyk! — pada zza pleców.
— Trzymaj szyk!

Kolejny kamień trafia Emila w ochraniacz goleni.

— Salwą ostrzegawczą! Ogniaaa!

Huk go ogłusza. Policjant rozpoznaje pod nogami stalową kulkę z łożyska. Zapach kordytu miesza się z dymem i wciskającym się pod maskę gazem.

— Kierunek: agresywny tłum! Paaal!

Basowy łoskot wirnika śmigłowca wprawia w drżenie powietrze, zagłusza wszystko. Wybuch kolejna butelka z benzyną, policjanta uderza gorąco błękitno-czerwonych płomieni.

— Tyralieraaa, naprzód!

— U-be-cy, u-be-cy! — skanduje tłum. — U-be-cy! Ge-sta-po! U-be-cy, ge-sta-po!

— Cel: tłuum, pal!

Huk. Błysk. Łuski padają na bruk. Pisk w uszach. Trzask przeładowywanych strzelb tym razem jest przytłumiony. Paf. Łup. Nierówne strzały, gdzieś z tyłu. Buuuch! Ogień przed nimi. Nad głowami furkoczą granaty. Ssssss... łup! Dym leniwie niesie się metr nad ziemią, wolno, pełnie niczym wąż. Nagle krzyki, wyzwiska i obelgi zmieniają się w kaszel i dudnienie kroków.

— Zabezpieeecz broń! Broń gładkolufowa, do szykuuu wstąp.

Kiedy śmigłowiec odlatuje, szeregowy Emil Stompor czuje, że drżą mu ręce.

— Medyk, medyk! — słyhać w radiostacji. — Ranny policjant. Bierz karetkę i do mnie. Pilnie!

Emil ściska tarczę. Patrzy przed siebie. Szybki maski już nie parują. Syrena karetki jest coraz bliżej. Tłumu nie ma. Medycy wloką nieprzytomnego. Czerwona, poparzona twarz robi makabryczne wrażenie. Emil napotyka spojrzenie starszego kolegi. Wzrok Fiedii dodaje otuchy.

3

Nie mógł wiedzieć, że Przybyłok wypchała czapkę gazetami, żeby było jej ciepło. To one zamortyzowały uderzenie.

Rozejrzał się. Nic go nie zaniepokoiło. Otaczały go odgłosy górniczego miasta.

— Ciiii — mruknął. — Już dobrze, zaraz będzie po wszystkim. Nie przejmuj się, babciu. Już nie będzie bolało — powiedział, zaciskając zęby.

Napawał się chwilą, której pragnął, o której fantazjował i marzył. *Och, jak pięknie* — pomyślał, rozpinając spodnie. Zdjął rękawiczkę z lewej ręki.

— Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi nad wody, gdzie mogę odpocząć.

Gdzieś zatrąbił pociąg. Wiatr poderwało zmrożone liście.

Znów się rozejrzał. Wydawało mu się, że pnie buków podświetliły się niebieskawym światłem. Ponownie wyjął nabrzmiały członek i patrząc na nią, zaczął się onanizować.

— ...orzeźwia moją duszę — mruczał. — Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię.

Nagle dostrzegł parę unoszącą się z jej ust. Nastrój niezwyklej chwili prysł, erekcja zanikła. Zapiął spodnie.

Założył rękawiczkę. Patrzył w milczeniu. Czekał, aż ofiara oprzytomnieje. Pozwalał, by zebrało się w nim wystarczająco dużo złości. Uniósł twarz w stronę cienkiego księżyca. Wymacał w kieszeni linkę.

— A więc żyjesz?

— Pomocy — usłyszał jej słaby głos. — Pomocy!

— Nie powinnaś się ruszać — powiedział, wkładając sznur pod jej szyję. — To błąd.

Księżyc skrył się za chmury. Kobieta wydała przytłumiony, spazmatyczny charkot, a jej spodnie zwilżył mocz. Morderca, wyczuwszy parującą urynę, zgrzytnął zębami.

— Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo ty jesteś ze mną — rzekł.

Kiedy koła wyciągu szybowego kopalni na Bobrku zatrzymały się z łoskotem i trzecia zmiana wysypała się z windy na podszybie, on z rozkoszą pozbawił Przybyłok życia. Stygnące ciało ułożył na plecach. Rozchylił nogi, w poprzek z pietyzmem ułożył linkę.

4

Wysoki sędzie, czcigodni przysięgli, szanowni zgromadzeni, nie byłoby mnie, gdyby nie one — mógłbym powiedzieć przed obliczem sprawiedliwości, jednak jedyną sprawiedliwością dla potwora takiego jak ja jest śmierć. Bezapelacyjnie jestem winny zarzucanych mi czynów. Jestem wampirem, mordercą kobiet, którego szukaliście. Ale domagam się prawdy. Poznajmy ją, a kiedy już wszystko opowiem, możecie mnie zabić. Potem potnijcie mój mózg, zbadajcie dokładnie, kawałek po kawałku, aby już

nigdy nie narodził się nikt taki. Ta wiwisekcja niech będzie częścią odkupienia mych win.

Moje pierwsze wspomnienie pochodzi z czasów, kiedy miałem trzy latka. Musiało to być jesienią 1959 roku. Wiem, że działo się to w Ujeścisku, bo tak nazywała się wieś, w której mieszkaliśmy. Jest tam cmentarz pełen starych nagrobków. Dziś na pozostałości po nim można trafić przy ulicy Cedrowej w Gdańsku. Jest już opuszczony, zarosnięty drzewami. W lecie chwasty są tak wysokie, że zasłaniają nawet te nieliczne nagrobki, o które ktoś wciąż dba i które odwiedza.

— Tu jest grób twojego braciszka, synku — powiedziała wtedy.

— Co to glób?

— Stąd poszedł do nieba, kiedy ciebie mamusia nosiła w brzuszku.

— I teraz jest gdzie?

Wiatr pędzi ciemnoszare, poszarpane chmury. Matka spogląda w górę i nie odpowiada. Widzę, jak wyjmuje z kieszeni płaską butelkę.

— W niebie — mówi ciszej.

— A czemu nie z nami?

— Bo został aniołkiem.

Jest zimno. Żółte liście suną po ziemi, zatrzymują się na nagrobkach, na moich bucikach.

— Tes bede janiołkiem?

— Nie.

— Cemu?

— Twój braciszek jest w niebie, bo zostawił mamę. Ty zostałeś. Z mamą, tatą i babcią. — Głos jej się łamie.

Widzę, że płacze. Zaskakujące, że nie umiem przypomnieć sobie jej twarzy. Pamiętam niebieskie oczy i to, jak spod chustki wiatr rozwiewał jej włosy koloru zachodzącego słońca.

— Zimno.

— Jeszcze chwilka — mówi łagodnie. — Zaraz idziemy.

Pochyliła się nad mogiłką. Bezskutecznie próbuje zapalić znicz. Wiatr gasi płomień. Słyszę ptaki. Widzę stado gawronów. Powoli zapada zmierzch.

— Zimno mi.

— Milcz! — W jej oczach pojawia się wściekłość. — Jak śmiesz o tym myśleć?!

Nie odzywam się, czując marznące palce. Ona wstaje i poprawia niesforny kosmyk, który wiatr ciągle zawiewa jej na bladą twarz.

— Jak możesz mówić, że jest ci zimno? — mówi, pociągając kolejny łyk. — Wiesz, jak zimno musi być Andrzejkowi tam, pod ziemią? Myślałeś o tym?

— Pseciez jest w niebie?

— Zamknij się! — Matka wybucha płaczem. — Nic nie mów! — szlocha w dłonie. — Nie odzywaj się!

Rozglądam się. Jesteśmy sami. Jest coraz ciemniej. Mama wciąż płacze, wiatr cichnie. Na dachu kaplicy, na grobach i krzyżach rozsiadają się wielkie ptaki. Widzę, jak w świetle latarni połyskują ich ciemnogramatowe pióra. Do mojego serca wdzierają się strach.

— Nie płac, mamusiu. — Obejmuję jej nogę. — Pseplasam.

— Zamknij się! — warczy przez łyki. — Milcz! Jak możesz? Przecież gdyby nie ty, nigdy by do tego nie doszło! Nigdy! On by żył!

— Zimno.

— Zamknij mordę, cholerny bękarcie! — Jej dłoń ląduje na moim policzku.

Upadam, uderzam głową w nagrobek.

— Przepraszam, synku. Przepraszam, kochany... — powiedziała pewnie tamtego jesiennoego dnia, ale nigdy nie wybaczyła mi śmierci swojego pierwszego dziecka.

Jedna z teorii psychologicznych głosi, że nie pamiętamy pierwszych trzech lat życia między innymi dlatego, że nie posługiwaliśmy się w tym czasie mową, a człowiek zapamiętuje to, co potrafi opisać słowami. Albo to nieprawda, albo jestem wyjątkiem.

5

O brzasku tego listopadowego dnia 1990 roku postrzępione chmury od strony Olkusza i Zawiercia straciły nocny stalowoszary kolor. Odcienie szkarłatu, ciemnego różu, minii, maków i mahoni uświetliły Karola Grzesika. Można byłoby o nim rzec, że jest nawet przystojny z tą swoją twarzą modela, gdyby nie nadwaga. Policjant wysiadł z cichym sapnięciem z nieoznakowanego volkswagena.

— Ale ziąb — rzucił. — Zima idzie.

— Już osiemnasty — odpowiedział Dębski, podając rękę. — Zaraz wigilia i święta.

Grzesik splunął i dmuchnął w dłonie. Dymy z Huty Katowice unosiły się skośnie ku niebu, które z każdą minutą zapalało się żywszą purpurą wschodu słońca.

— Jak ją znaleźliście?

— Rodzina zgłosiła zaginięcie.

— Kiedy?

— Wczoraj.
— Konkretnie kiedy?
— Wczoraj wieczorem — odparł Dębski. — O dwudziestej trzeciej. O północy zaczęliśmy szukać. O pierwszej mieliśmy trupa.

— Szybko — zauważył Grzesik. — Jak się nazywa?
— Ewa Uherek. Ostatni raz widziała ją koleżanka z pracy, tu, niedaleko. — Dębski wskazał ulicę za płotem. — Pożegnała się z nią po zmianie. Obie poszły do domu.

— Uherek nie dotarła?
— Świadek też. Zeznała, że Uherek w szatni przez pomyłkę zabrała jej klucze. Ona po dotarciu do domu znalazła klucze koleżanki w torebce.

— Zamieniły się?
— Na to wygląda. Poszła do niej, ale Uherek w domu nie było. Matka powiedziała, że nie dotarła. Zgłosiły zaginięcie. Zaczęliśmy szukać.

— Tak od razu, nie czekaliście nawet doby?
— Było uzasadnione podejrzenie, że coś się wydarzyło. Niebo płonęło od Olkusza aż po Tychy. Zimny wiatr sprawiał, że marzli bardziej, niż wskazywał na to termometr.

— Co to za miejsce? Horrory tu kręczą?
— Teraz i tak jest dobrze — odpowiedział Dębski. — Kiedyś śmierdziało stąd na całej dzielnicy. Jak zaczęli budować hutę, trza było ulicę zamknąć. Od tamtej pory zaczęło to podupadać.

Zewsząd otaczały ich opuszczone, zrujnowane budynki mieszkalne i przemysłowe. Grzesik rozejrzał się, jakby szukając w chwiejących się na wietrze rachitycznych brzozech, w pustych oczodołach okien bez szyb, na tle rdzewiejących hał, walcowni i w ruderach, które kiedyś były budynkami

administracji, odpowiedzi na pytanie, czy ta zbrodnia ma związek z zabójstwem z Bytomia.

— Mój dziadek tutaj pracował. Ojciec też — powiedział Dębski.

— A pan do resortu poszedł?

— Co mi zostało? Fedrować na grubie, do huty iść, wdychać ołów jak dziad i ojciec. Albo mundur.

— Dawno to już nieczynne?

— W latach siedemdziesiątych wysiedlono ludzi z ulicy, ale zakład działał. Akumulatory przerabiali. Od stanu wojennego nic już tutaj nie ma.

Grzesik ostrożnie posuwał się za przewodnikiem.

— Tak bywa.

— Choć jedna dobra strona wojny z narodem.

Grzesik nie odpowiedział. W grudniu 1981 roku miał dziewiętnaście lat, uczył się w klasie maturalnej i ważył sześćdziesiąt osiem kilogramów zamiast dzisiejszych stu dwunastu. Do milicji wstąpił rok później. Teraz był policjantem. Uznano, że powinien zjawić się na miejscu tej zbrodni, bo ona może mieć związek z niewyjaśnioną sprawą z Bytomia sprzed prawie roku.

— Najważniejsze, że to cholerstwo zamknęli — dodał Dębski.

— A praca?

— Uczciwy człowiek z Zagłębia pracę zawsze znajdzie. Roboty tutaj i na Śląsku jest w bród. Kopalnie, huty, ciepłownie — wyliczał Dębski, omijając ostrożnie zarośla, żeby nie uszkodzić munduru. — Tylko trzeba chcieć pracować.

— No, teraz, za demokracji, to nie wiadomo, jak będzie.

— Wałęsa obiecywał, że będziemy drugą Japonią — odparł mieszcowy.

— Coś wierzyć mi się nie chce.
— Zobaczymy. Wiem jedno. Jak przestali przerabiać te cholerne akumulatory, ludzie tu odetchnęli.

— Ołów powietrze wam psuł?
— Ci z Politechniki Śląskiej badania zrobili — powiedział Dębski. — Stężenie w ziemi przekroczyło normy tysiąc razy. O wodzie szkoda gadać. Tak samo o cynku i rtęci. A ołów to cholerstwo. Dziadek zmarł na ołowicę, rok na emeryturze przesiedział. Ojciec też miał ołów w płucach, biedak nawet sześćdziesiątki nie dożył. Ja pewnie jeszcze krócej pociągnę, pięćdziesiąt lat i strzelę kopytami w kalendarz.

— Zagłębie kochane... Wie pan, jaki jest największy plus życia tutaj?

— No, jaki?

— Picie jest zdrowsze od oddychania.

Mężczyźni się uśmiechnęli. Mieli dość dymu i smrodu. Obaj marzyli o domu na wsi, hodowaniu królików i uprawianiu marchewek w ogrodzie. I picciu piwa przy pieczonej kiełbasie, kaszance i marynowanym karczku.

— Za komuny się o tym nie mówiło — ciągnął Dębski.
— Nie wolno było, ludzie umierali i tyle. Nikt nie wiedział dlaczego.

— Leczyć się tego nie da?

— Nie. Węgiel, pył można wykaszleć. Nawet smołę od papierosów, jak się rzuci, też można, ale ołów siada na płuca i kropka. Wiąże się to cholerstwo z krwią, wykańcza wątrobę i nerki. O! To tam! — Miejscowy wskazał zrujnowany budynek.

Grzesik, patrząc na żelbetonową halę, zmrużył oczy i splunął. Na jej końcu dostrzegł grupę techników, lekarza i kryminalnych. Zbliżył się do pracujących i przywitał

skinieniem głowy. Słyszac chrzest szkła pod butami, pomyślał, że może to zabójstwo nie ma związku ze sprawą z Bytomia.

6

Chorąży Kostecki pochylił szczupłe, wysokie ciało nad koszem. Na dnie dostrzegł papierek po batoniku. Poruszył wąsem, po czym uśmiechnął się chytrze.

— Szeregowy? Co to jest? — szepnął.

— Papierek.

— Co? Papierek? Dobrze słyszałem?

— Papierek. To znaczy śmieć.

— Sam jesteś śmieć! — ryknął Kostecki. — Odpowiadam zgodnie z regulaminem! Masz przed sobą przełożonego! Będiesz zwracał się do mnie jak należy albo cię tak przepierdolę, że żyć ci się odechce!

— Tak jest!

— Słyszysz, co mówię?

— Tak jest!

Emil patrzył w rozwścieczone oblicze dowódcy kompanii, zastanawiając się, jak to możliwe, że ten idiota zwrócił na niego uwagę. Odkąd bowiem Emil żył, nikt go nie zauważał.

— Nie pozwolę, żeby skakano mi po pagonach! Szczególnie takie zero jak ty, gamoniu! Zrozumiałeś?

Szeregowy Emil Stompor nienawidził dowódcy kompanii od chwili, kiedy ten dostrzegł jego istnienie, a Emil zobaczył w nim głupka. Nienawidził najbardziej za to, że Kostecki był reliktem ubiegłej epoki, bez wykształcenia, ale wierny Polsce Ludowej.

- Tak jest, panie chorąży!
- Jak ci przeszkadza coś, co nie powinno, musisz się przyzwyczaić, tak żeby to ci już nie przeszkadzało! Mam ci wbić do pustego jak kapusta łba to, jak masz się do mnie zwracać, idioto? Po jaką cholerę nająłeś się do policji?
- Żeby bronić słabszych, panie chorąży!
- Słabszych? Ja pierdolę! Nie wierzę! Matka Teresa z Reduty, kurwa jego mać, mi się objawiła. Posłuchaj, gamoniu! Tu jest policja. Elitarna jednostka. Dla twardzieli, a nie idiotów. Nie potrzeba nam niedorozwiniętych.
- Tak jest, panie chorąży!
- Boże drogi! Idiota mi się trafił. Debil stuprocentowy, i to na mojej kompanii, kurwa mać! Jakie masz wykształcenie, szeregowy?
- Wyższe, panie chorąży.
- I co się uśmiechasz? Bawi cię to?
- Nie, panie chorąży!
- To co się śmiejesz, durniu jeden?
- Melduję, że to mój normalny wyraz twarzy, panie chorąży!
- Normalny jak na debila?
- Tak jest, panie chorąży!
- To jakie masz wykształcenie? Zapomniałeś pytania?
- Wyższe, panie chorąży!
- Zamknij się! Nie ogluchłem, dobrze słyszę, tylko nie wierzę. Uwierzyć nie mogę. Wyższe! Matko Boska, Jezusie Najświętszy, inteligenta mam na kompanii. Tyle że felerny jakiś, bo upośledzony! Głupi jak but i zwracać się do przełożonego nie potrafi.
- Tak jest, panie chorąży!

— Zamknij się! I dziabnij se ze dwadzieścia.

Emil, nie czekając na dalsze obelgi, przyjął pozycję do pompek i zaczął ćwiczenie. Nie sprawiło mu to wysiłku, bo każdy dzień zaczynał pięćdziesięcioma pompkami. Skończywszy, stanął na baczność.

— Na co czekasz? Mamy piąty listopad! Śnieg ci do uszów napada!

— Panie chorąży! Melduję, że w koszu na śmieci jest śmieć!

— Śmieć.

Szept zabrzmiał jak groźba i nie zapowiadał nic dobrego. Emil wołał już, kiedy chudy, wredny, złośliwy głupek wrzeszczał. Tymczasem Kostecki, przesywając wzrokiem postać podległego policjanta, dostrzegł kropelki potu na czole. Zauważył też drżące palce, co sprawiło mu satysfakcję.

— Śmieć — powtórzył. — To jest policja! Kosz na śmieci nie jest po to, żeby były w nim śmieci! Murem głowy nie przebijesz, Stompor.

— Tak jest, panie chorąży!

— Tak jest — powtórzył. — Więc zapamiętaj! Kosz ma być pusty!

— Tak jest, panie chorąży! Ma być pusty!

— Nie myśl, że jestem tu po to, aby cię gnębić. — Dowódca założył ręce z tyłu i ruszył wzdłuż łóżek. — Przeciwnie! Moim zadaniem jest pomagać. — Zatrzymał się przed łóżkiem Emila. — Nawet takim nieudacznikom i życiowym łajzom jak ty. Pomogę ci zrozumieć, czym jest regulamin Oddziałów Prewencji Policji w Warszawie. Zrozumiałeś?

— Tak jest, panie chorąży!

— Nie przerywaj! Zrozumiesz, po co regulamin stworzono. I czemu on służy.

— Tak jest, panie chorąży!

— Panie chorąży! — powtórzył, wyjmując z kieszeni monetę. — Widzę, że jesteś na tyle bezczelny, że tylko się ze mną zgadzasz.

— Dziękuję, panie chorąży!

Kostecki, podrzucając dwudziestozłotówkę, uśmiechnął się chytrze. Błyszcząca moneta upadła na wzorowo naciągnięty koc.

— Widziałeś? Odbiła się na nieprzepisową wysokość. Czyli łóżka nie zaścielono zgodnie z wytycznymi!

— Tak jest, panie chorąży!

— Oddziały Prewencji Policji w Warszawie są jednostką elitarną. Jedną z najlepszych jednostek milicji — zająknął się, odchrząknął i przetarł palcem po górnej krawędzi drzwi. — Tu także syfilis. — Wskazał kurz na palcach. — Wracając do tematu, Oddziały Prewencji Policji w Warszawie są jednostką elitarną, jedną z najlepszych jednostek policji w Polsce. Nie na darmo mamy stopnie jak w wojsku, szeregowy!

— Tak jest, panie chorąży!

— Ja w tej sali w dniu dzisiejszym ujawniłem nieporządek — kontynuował dowódca, wydymając usta. — To rażące naruszenie dyscypliny służbowej. A tak się składa, że zgodnie z meldunkiem ty odpowiadasz za stan tej sali.

— Tak jest, panie chorąży!

— To na początek — rzekł, wyrzucając w powietrze materac z kocem, prześcieradłem i pościelą.

— Tak jest, panie chorąży!

— I życzę sobie generalnych porządków! — Wyrzucał ubrania z szafek. — Czas operacyjny: piętnaście minut!

— Tak jest, panie chorąży!